

□ Czas czytania: 12 min.

Sen ten miał Ksiądz Bosko 30 sierpnia. Opowiedział go zaś dnia 4 września przed południem Kapitulie Generalnej. Notował ksiądz Lemoyne i dał do poprawienia Księdzu Bosko, który go uzupełnił – głównie z początku, gdzie jest rozmowa między owymi gośćmi w salonie.

Przewodnikiem tego snu jest znany Alojzy Colle, syn wielkich Dobrodziejów Księdza Bosko we Francji, zmarły bardzo świętobliwie. Ksiądz Bosko często go widywał nie tylko w snach, ale także i w dzień, a w czasie swych podróży nieraz z nim rozmawiał.

Wiedziałem, że śpię, a równocześnie zdawało mi się, że biegnę i to tak szybko, że czułem się przemęczony i niezdolny do zwykłych swych zajęć. Wreszcie, dobiegłszy do wspaniałej sali, spostrzegłem tam większe grono osób prowadzących między sobą ożywioną dyskusję na temat wielkiej liczby dzikich ludów pogańskich w Australii, w Indiach, Chinach, Afryce a szczególnie w Ameryce utyskując, że te kraje dotąd jeszcze pogrążone są w cieniu śmierci.

- Zdaje mi się - mówił jeden - jakoby Europa, ta chrześcijańska Europa, co się uważa za mistrzynię świata, co trzyma niby prym w szerzeniu kultury, zupełnie stała się obojętna na misje zagraniczne. Mało jest bardzo tych, co by mieli odwagę podjąć się uciążliwej podróży morskiej i popłynąć w nieznane kraje dla ratowania dusz milionów ludzi, którzy przecież też są odkupieni przez Syna Bożego Jezusa Chrystusa.

- A iluż to nieszczęśliwych - zauważył inny - żyje choćby w samej Ameryce, nie znając Ewangelii ani Kościoła. Jest przekonanie, że Kordyliery są murem odgradzającym tamte kraje od reszty świata, a tymczasem są one dostępne, bo poprzerywane szerokimi kotlinami. Rosną na nich olbrzymie lasy, gdzie stopa ludzka jeszcze nie stanęła, są tam rośliny i zwierzęta dotąd nieznane, są i bogate złoża mineralne, jak węgiel, ołów, miedź, żelazo, srebro i złoto, nawet i ropa, które leżą nietknięte odkąd złożyła je tam wszechmocna ręka Stwórcy na potrzeby ludzi. O Kordyliery, jakże jesteście bogate!

Czułem w tej chwili potrzebę zapytania o wiele rzeczy, jako też poznanie osób, wśród których się znalazłem, ale pomyślałem sobie, że lepiej będzie najpierw im się uważnie przypatrzeć.

Spojrzałem, więc po obecnych, choć wszyscy byli mi nieznani, to jednak bardzo życzliwie zaprosili mnie do swego grona. Ośmielony tym, zapytałem:

– Gdzie my właściwie jesteśmy? W Turynie, Paryżu, Londynie, czy w Madrycie? A panowie, kto jesteście? Z kim mam zaszczyt rozmawiać?

Odpowiedzieli mi wymijająco, ciągle wracając do tematu misji. Wtedy podszedł do mnie młodzieniec, lat mniej więcej 16 – tu, bardzo miły, kochany dla swej nadziemskiej piękności i jaśniejący blaskami więcej niż słonecznymi. Ubranie jego haftowane było z przepychem niebiańskim. Na głowie miał beret w kształcie korony, wysadzany mieniącymi się perłami. Patrzył na mnie życzliwie, a jego uśmiech miał w sobie coś dziwnie pociągającego.

– O Ksiądz Bosko – odezwał się do mnie.

A wzięwszy pod rękę, zaczął mówić o naszym Zgromadzeniu Salezjańskim. Byłem oczarowany jego głosem.

Dopiero po pewnym czasie przerwałem mu pytając:

– A z kim mam zaszczyt mówić? Niech panicz będzie łaskaw powiedzieć mi swoje nazwisko.

– Proszę się nie obawiać. Ze mną śmiało można porozmawiać, wszak jestem Księdzu bardzo życzliwy – odparł młodzian.

– No, ale nazwisko panicza.

– Chętnie bym powiedział, ale to zbyteczne, bo przecież Ksiądz powinien mnie dobrze znać.

To mówiąc przyjaźnie się uśmiechnął. Przypatrzyłem mu się lepiej. Ech, jakże był piękny. Rzeczywiście rozpoznałem w nim Alojzego, syna hrabiego Colle z Tulonu, naszego wielkiego dobrodzieja zwłaszcza naszych misji w Ameryce. /Alojzy Colla zmarł niedawno przed tym snem/.

– Ach, to ty, Alojzy, zawołałem, a któż są ci wszyscy?

– To sympatycy tutejszych salezjanów. Ja też, jako serdeczny przyjaciel Księdza i salezjanów, chcę w Imię Boże dać Księdzu trochę, roboty. Zobaczymy wtedy, o co chodzi.

– Jaka to będzie praca?

– Proszę się przybliżyć do tego stołu i pociągnąć w dół tę oto linkę.

Na środku sali był stół, a na nim leżała linka zwinięta, poznaczona kreskami, jakby jakiś metr. Później przekonałem się, że ta sala była w Ekwadorze, dokładnie na równiku, a owe kreski, na linie odpowiadały stopniom szerokości geograficznej. Ująłem więc koniec tej linki i obejrzałem ją. Na końcu miała znak zero.

Uśmiechnąłem się na to, a wtedy Alojzy:

- Tutaj nie ma nic do śmiechu. Proszę bardzo uważnie obejrzyć, co tam jest zaznaczone.
- A no - zero.
- Proszę pociągnąć.

Pociągnąłem i pokazał się numer jeden.

- Jeszcze proszę pociągnąć i potem zwijać linkę.

Pociągnąłem i wyszły numery: 2, 3, 4, aż do 20.

- Wystarczy? - zapytałem. Nie.
- Jeszcze proszę ciągnąć dalej, dalej. Aż się pokaże supełek - odpowiedział.

Ciągnąłem, więc do 47 i tu był węzeł. Od tego miejsca linka ciągnęła się dalej, ale podzielona już na liczne sznureczki, które rozchodziły się w różnych kierunkach, na wschód, zachód i południe.

- Wystarczy? - spytałem znowu.
- A jaki jest numer? - pyta młodzieniaszek.
- Jest 47.
- No, a 47 więcej 3, ile to jest? Pięćdziesiąt.
- A więcej pięć?
- Pięćdziesiąt pięć.
- Proszę zapamiętać; pięćdziesiąt pięć, ale proszę jeszcze ciągnąć.
- Już koniec, odpowiedziałem.
- To proszę przejść na drugą stronę i ciągnąć linkę z drugiego końca.

Ciągnąłem więc linkę od drugiego końca do numeru 10.

- Jeszcze - zachęcał młodzieniaszek.
- Już nic nie ma.
- Jak to, nic nie ma. Proszę lepiej popatrzeć. No, co jest?
- Woda, odpowiedziałem.

W tej chwili zaszło coś dla mnie nie wytłumaczalnego. Byłem w owej sali, ciągnąłem linkę, a równocześnie przede mną przesuwał się wspaniały krajobraz, nad którym unosiłem się, jakby w górze. Rozszerzał się on w miarę, jak ciągnąłem za linkę. Od zera do liczby 55 był ląd, potem cieśnina morska, a dalej w głębi morze poprzecinane setkami wysp, z których jedna większa. Do tych wysp nawiązywały owe sznureczki, jakie wychodziły od wielkiego węzła i tak się kończyły. Jedne z wysp

zamieszkiwały liczne plemiona, inne były skaliste i puste, jeszcze inne pokryte lodem i śniegiem. Na zachód widać było wyspy z dzikusami. Zdaje się, że węzeł pod numerem 47 oznaczał centrum działalności salezjanów, z którego mieli się rozejść do Ziemi Ognistej, na wyspy Falklandzkie i na inne wyspy sąsiednie. Z przeciwnej strony od zera do 10 znowu był ląd. Ten kończył się w wodzie, którą widziałem, jako ostatnią przy ciągnięciu linki. Zdaje się, że to miało być Morze Karaibskie, ale to przedstawiało mi się tak jakoś, że nie umiem słowami tego wyrazić.

Kiedy więc zawołałem, że jest woda, ów młodzieniec odezwał się:

- No, to dodajmy 55 do 10 - będzie razem.
- Będzie razem 65.
- Otóż to trzeba teraz razem zwięzać.
- A potem?
- Zaraz.
- Z tej strony, co tu jest?

Powiedział wskazując jeden punkt krajobrazu. Na zachodzie widzę wysokie góry, a na wschodzie morze. /Tu trzeba zauważyć, że to wszystko widziałem w tej chwili jakby w streszczeniu, w miniaturze. Cyfry na lince odpowiadały dokładnie stopniom szerokości geograficznej. Tu ułatwiło mi zapamiętanie potem tego, co następnie ujrzałem, podróżując po tych krajach w drugiej części snu/. A mój przyjaciel mówił dalej:

- Te góry są granicą działalności salezjańskiej. Tam miliony ludzi was oczekują, a z wami wiary.

Te góry - to były Kordyliery Ameryki Południowej /Andy/, a morze - to ocean Atlantycki.

- Ale jak my temu podołamy? Jak będziemy mogli tyle narodów skupić w owczarni Chrystusowej?
- Jak? zobacz.

W tej chwili nadszedł ksiądz Lago /późniejszy sekretarz księdza Rua/ z koszykiem fig maleńkich i zielonych, a podając mi je powiedział:

- Proszę, niech Ksiądz Bosko bierze.
- Cóż ty mi przynosisz?, zawołałem patrząc na zawartość kosza.
- Kazano mi to przynieść Księdzu.
- Ależ to figi nie do jedzenia. Przecież są niedojrzałe.

Wtedy Alojzy wzięwszy ów kosz bardzo szeroki, ale płytki, wręczył mi go mówiąc:

- Oto podarek ode mnie.

- Ależ cóż mam robić z tymi figami?
- No tak. Figi są niedojrzałe, ale należą do „wielkiej Figi życia”. Trzeba postarać się, by dojrzały.
- Ale jak? Gdyby były trochę większe, to by można rozłożyć je na słomie, jak to się praktykuje z innymi owocami, ale takie małe, zielone – nic z tego nie wyjdzie.
- Owszem, wyjdzie, ale trzeba wiedzieć, że te figi, aby dojrzały, muszą być z powrotem przywiązane do drzewa, z którego pochodzą.
- To już nie do uwierzenia. Jakże to można zrobić?
- Proszę uważać.

I wziął jedną figę umoczywszy ją w naczynku z krwią, następnie w naczynku z wodą, rzekł: Krwia i potem będą mogli dzicy zostać z powrotem wszczepieni do drzewa i tak staną się miłymi w oczach Pana Życia.

Pomyślałem sobie, że na to trzeba będzie czasu, głośno zaś rzekłem:

- Ja już nie wiem, co na to wszystko powiedzieć.

Alojzy czytając w moich myślach powiedział:

- To da się przeprowadzić w ciągu dwóch generacji ludzkich.
- A która te będzie druga generacja?
- Obecnie żyjącej nie liczy się, dopiero następna i ta po niej.

Kiedym usłyszał, jak wielkie przeznaczenie czeka nasze Towarzystwo, poczułem się zakłopotany.

- A ile lat trzeba liczyć na każdą generację? Sześćdziesiąt sześć /66/.
- A potem?
- Jeśli Ksiądz chce wiedzieć, co nastąpi potem, to proszę iść ze mną.

I tu nie wiem, w jaki sposób znalazłem się na stacji kolejowej, przepętnionej ludźmi. Siedzieliśmy w pociągu.

- Dokąd jedziemy, pytam.

Młodzieniaszek odpowiedział:

- Proszę dobrze uważać i patrzeć. Jedziemy wzdłuż Andów, ale będziemy jechać i na wschód w stronę morza.
- Łaska to jest naszego Zbawiciela, A w Bostonie, gdzie nas oczekują, kiedy będziemy?
- Każda rzecz w swoim czasie.

To mówiąc wyjął wielką mapę, na której zaznaczona była diecezja Cartagena /to punkt wyjściowy/. Gdy oglądałem mapę, pociąg gwizdnął i ruszył z miejsca.

W czasie podróży mój młody przyjaciel mówił dużo, ale z powodu stukotu pociągu niewiele mogłem z tego zrozumieć. Mówił o astronomii, o żegludze, o meteorologii, mineralogii, o faunie, florze i topografii tych okolic. A mówił to z taką znajomością rzeczy, z takim wdziękiem i serdecznością, że odczułem, jak byłem przez niego kochany. Zaraz z początku opowiadania ujął mnie za dłoń i tak ją trzymał aż do końca snu. Ja czasem chciałem swoją rękę położyć na jego, ale ta jakoś rozpływała się tak, że dłonią dotykałem swojej ręki, a nie jego. A on się tylko na te moje bezustanne wysiłki tylko uśmiechał.

Przez okna wagonu można było podziwiać wspaniałe widoki. Lasy, góry, majestatyczne równiny, długie rzeki, o których nigdy bym nie myślał, że mogą być tak szerokie daleko od swego ujścia. Jechaliśmy stale wzdłuż wielkiej dziewiczej puszczy. Mój wzrok miał jakąś nadzwyczajną siłę. Nie było przeszkód, które by zdolne były przysłonić mi widok bezkresnych obszarów. A tu, co chwila podnosiła się jakby zasłona i nowe kraje wyłaniały się przede mną: Nowa Grenada, Wenezuela, Gujana, Boliwia, Brazylia w całej swej bezkresnej rozciągłości. Mogłem się też przekonać o słuszności tego, co słyszałem w owej sali, bo mogłem dojrzeć złoża kruszcowe we wnętrzu ziemi i podziwiać bogactwa, które kiedyś zostaną odkryte. Widziałem kopalnie cennych minerałów, niewyczerpane wprost pokłady węgla, zbiorniki ropy tak bogate jak nigdzie na ziemi.

Między stopniem 13 a 20 szerokości geograficznej była Kotlina obszerna, a u jej wylotu jezioro. Jakiś głos mi mówił:

– Kiedy odkryte zostaną skarby tu ukryte, ta okolica stanie się krajem mlekiem i miodem płynącym. Takie niewyczerpane bogactwa kryje w sobie ta ziemia.

Co mnie bardzo zastanowiło to to, że te góry oglądane nie były murem nieprzerwanym, poza który wejść nie można, ale obniżając się tworzyły obszerne Kotliny. W tych zaś kotlinach, niezmiernie długich, mieszkały tysiące tubylców, którzy z Europejczykami jeszcze w ogóle się nie zetknęli.

Tymczasem pociąg jechał naprzód mijając lasy, wijąc się między wzniesieniami po dolinach aż wreszcie stanął. Wielu pasażerów wysiadło i odeszli na zachód. Pociąg ruszył dalej. I znowu mijaliśmy lasy, tunele, olbrzymie mosty, zapuszczaliśmy się w ciasne wąwozy górskie, pędziliśmy nad jeziorami i bagnami, nad rzekami, aż

wjechaliśmy na prerię i równinę olbrzymią. Wnet znaleźliśmy się nad brzegami rzeki Urugwaju, wbrew mojemu przekonaniu bardzo długiej. Następnie natknęliśmy się na rzekę Parana, która zdawała się, że wyleje swe wody do Urugwaju, ale ona tylko płynie z nim czas jakiś równolegle i skręca tworząc szeroki łuk. Obie te rzeki są bardzo szerokie. Pociąg pędził teraz stale w dół, zakręcając raz w jedną, raz w drugą stronę, wreszcie po długiej jeździe stanął. I tu dużo pasażerów wysiadło i poszło na zachód. Pociąg ruszył dalej przez Pampas i Patagonię. Uprawne pola i domy, stojące tu i tam, świadczyły, że cywilizacja już się przedostaje w te okolice. Wjeżdżając do Patagonii przejechaliśmy rzekę Colorado. I wreszcie znaleźliśmy się nad cieśniną Magellana. Wysiedliśmy z pociągu. Przede mną jak na dłoni widniało Punterenas. Na dziesiątki kilometrów widziałem przed sobą składy węgla, stołów, desek, drzewa, stosy różnych metali w stanie surowym i obrobionych. Długie pociągi towarowe stały na torach.

Mój przyjaciel wskazał mi na te rzeczy, a ja spytałem:

– Co to wszystko oznacza?

Odpowiedział:

– To, co teraz jest w obrazie, to w przyszłości będzie rzeczywistością. Ci dzicy chętni będą dla cywilizacji; owszem, sami przyjdą prosić, by ich pouczyć o religii, przemyśle i rolnictwie.

Widziałem już dosyć.

– Zaprowadź mnie teraz do moich salezjanów w Patagonii.

Wróciliśmy więc na stację, wsiedliśmy do pociągu, który też zaraz ruszył. Po dłuższej jeździe zatrzymał się w jakiejś znaczniejszej miejscowości. Na stacji nie było nikogo, ale zaledwie wyszliśmy z wagonu, zaraz natknąłem się na salezjanów. W owej miejscowości były domy zamieszkałe, kilka kościołów, szkoły, przytułki dla dzieci i starców, byli rzemieślnicy i rolnicy i szkoła gospodarcza dla dziewcząt. Wszystko to było pod kierownictwem salezjanów. Szedłem między nimi, ale oni mnie nie poznawali ani ja ich. Patrzyli na mnie zdziwieni, jak bym dla nich był kimś obcym.

Więc się odzywam:

– Czy nie znacie mnie? Nie znacie Księdza Bosko?

– Ksiądz Bosko? Owszem, znamy go z opowiadania. Widzieliśmy tylko jego portrety.

Osobiście – oczywiście, nie.

– No a ksiądz Fagnano, ksiądz Costamagna, ksiądz Lasagna, ksiądz Milanesio.

Gdzież oni są?

– Tych też nie znaliśmy. Oni już dawno umarli. To byli pierwsi tutaj salezjanie z Europy.

Słyszając to myślę, sobie, czy to jest rzeczywistość, co przeżywam, czy sen. Klasnąłem w dłonie. Klasnięcie usłyszałem. Dotykając się czułem swoją osobę i dochodziłem do wniosku, że nie śpię, ale wiem, że wszystko to odbywa się w jednej chwili.

I widząc tak wielki rozwój Kościoła, naszego Zgromadzenia i cywilizacji w tych stronach – dziękowałem Opatrzności, że mną się posłużyła jako instrumentem dla dokonania tylu rzeczy ku swej chwale i zbawieniu dusz.

Alojzy dał mi znak, byśmy wracali. Pożegnałem więc swoich i wracamy na stację, gdzie już pociąg czekał. Maszyna gwizdnęła i jazda na północ. Podpadło mi teraz, że Patagonia w pobliżu cieśniny Magellana, między Kordylierami a Atlantykiem, nie jest tak szeroka, jak to podaje dotychczasowa geografia. Pociąg nasz przebiegał okolicę Argentyny już ucywilizowane. Następnie wjechaliśmy w bezkresną puszcę.

Naraz maszyna zatrzymała się gwałtownie, a naszym oczom ukazał się bardzo bolesny widok. Wielka gromada dzikich, o twarzach wstrętnych, stała na polanie wśród puszczy. Ubrani byli w skóry zwierząt pozszywane niezgrabnie. Otaczali jakiegoś człowieka związanego, który siedział na kamieniu. Był bardzo tłusty, bo dzikusy umyślnie go utuczyli. Był to jakiś biedny jeniec. Z jego wyglądu więcej ludzkiego, można było wywnioskować, że to obcokrajowiec. Dzikusy zadawały mu wiele pytań, a on opowiadał im swoje podróżnicze przygody. Naraz jeden z dzikusów podnosi się, chwyta jakieś ostre żelazo, rzuca się na tego biedaka i jednym uderzeniem strąca mu głowę. Podróżni ze zgrozą w milczeniu przypatrywali się tej okrutnej scenie. Także Colle patrzył w milczeniu. W chwili uderzenia ofiara jeszcze zdążyła krzyknąć przeraźliwie, gdy ludożercy zaraz rzucili się na trupa, rozdarli na kawałki, a przypiekłszy na rozpalonym ognisku, zjedli na pół surowe jego mięso. Na krzyk owego nieszczęśliwego maszyna powoli ruszyła, przyspieszając z każdą chwilą biegu.

Pociąg pędził wzdłuż rzeki, raz na jednym jej brzegu, to na drugim. Po drodze, co jakiś czas napotykaliliśmy osady dzikusów. Wtedy Colle mi mówił:
– Oto żniwo dla salezjanów. Oto wasze żniwo.

Nareszcie znaleźliśmy się w okolicy pełnej dzikich zwierząt, węzów jadowitych o dziwnych i strasznych kształtach, które kręciły się i pęzły po górach, pagórkach, nad brzegami rzek, na równinach. Widzieć było można wśród nich psy ze skrzydłami o brzuchu obrzydliwie wielkim, to znów ropuchy, co pożerały mniejsze żaby, gdzie

indziej były jamy pełne potworów. A to wszystko było zmieszane, tłoczyło się i żarło między sobą, kwicząc przeraźliwie. Były tam tygrysy, lwy, hieny, ale inne niż te w Azji, czy Afryce. Także tutaj mój towarzysz rzucił mi uwagę:

- Salezianie ich obłaskawia.

Pociąg tymczasem dojeżdżał do miejsca, skąd wyjechał i już byliśmy blisko stacji. Colle wyjął wtedy prześliczną mapę i rzekł:

- Chce Ksiądz wiedzieć, przez jakie kraje przechodziła nasza trasa?

- Ależ naturalnie.

Wówczas rozwinął mapę całej Ameryki Południowej, wykonaną z wielką dokładnością. Na niej było zaznaczone nie tylko, co jest, ale i to, co było i jak będzie w przyszłości. A było to tak przejrzyste, że jednym spojrzeniem objąłem. Ale tyle szczegółów naraz pomieszało mi się w głowie, iż sobie już z tego dokładnie nie zdaję sprawy. Kiedy oglądałem mapę czekając jakiegoś słowa wyjaśnienia od mego kochanego Alojzego, podniecony tym, co miałem przed oczyma – usłyszałem, że w kościele parafialnym dzwoniono na Anioł Pański. Sen trwał całą noc.

Ksiądz Bosko zakończył opowiadanie następująco: „Słodyczą i łagodnością św. Franciszka Salezego, salezianie pociągną do Jezusa Chrystusa ludy Ameryki. Będzie rzeczą trudną ucywilizować tubylców, ale ich dzieci będą chętnie słuchały słów misjonarzy, zamieszkaj, w koloniach, stopniowo cywilizacja zajmie miejsce barbarzyństwa i w ten sposób wielu pogan wejdzie do owczarni Jezusa Chrystusa”.

(MB IT XVI, 385-394, MB PL XVI, 236-243)